№ 35. Warszawa, dnia 19 Listopada (1 Grudnia) 1880 r. Rok 1.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Mesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

(Ciąg dalszy).

V.

Światła i Ciemności.

Wkrótce wytworzyły się dwa obozy. Do jednego należeli drwale i wszyscy porządniejsi, a także i bogatsi ludzie w mieście, dla których prawo przedstawiało się pod formą możności spokojnego używania bogactw. Do drugiego górnicy gorszego gatunku i warchołowie ze wszystkich końców świata, których liczba zwiększała się z każdą świeżo przybyłą karawaną.

Praca górnicza, zwłaszcza tam gdzie obchodzi się ona bez maszyn, a polega na użyciu taczki, kilofa, rydla i rąk, jest bardzo ciężką. Rozkopać całe fury ziemi, pokruszyć kwarce na miał, przepłukać to wszystko w kołysce wodą, następnie rozpuścić złoto w merkuryuszu, następnie odparować merkuryusz przy ogniu: oto zadanie górnika, od którego nie może się on oderwać ani na jedną chwilę.

Tymczasem większość przybyszów składała się z warchołów i zawołanych próżniaków. Ci przybywali nad Sacramento szukać szczęścia nie pracy. Ideałem ich było znaleść wypadkiem „pepitę“ ważącą z jakie kilkadziesiąt funtów i odrazu dojść do miljonów.

Owóż takie wypadki zdarzają się rzadko, a wobec pracy ciągłej i stałej, która jedynie się opłaca, większość tych ludzi opuszczała ręce.

Namnożyło się tedy urwiszów bez zajęcia i chleba. Gdybyż tylko tyle? wyżywić się w Kalifornii łatwo; ale ludzie ci płonęli jeszcze żądzą, by próżnując dojść do bajecznych bogactw.

Jakimże sposobem mogli do nich dojść? Oto złupiwszy tych, którzy pracą i krwawym trudem dobywali je z ziemi.

Takich była większość. Ztąd groza położenia, zajścia, spory o „klemy,“ bijatyki, zbrodnie. Próżniacy włóczyli się z kąta w kąt, hotel Dżentlemanów, hotel Szarego Niedźwiedzia, pełne ich były dzień i noc. Pili nie wiedzieć za co, bez odpoczynku. Żyli złodziejskim przemysłem; oddawali się grze goręcej od meksykanów, którym z „łąki“ kradli bydło i konie.

Ten ostatni przemysł miał jednak swe ciemne strony. Kto z awanturników puściwszy się na „łąkę“ usłyszał świst lassa, świst ów był ostatnim głosem, jaki odbił się o ucho jego na ziemi.

Z lewego brzegu, z okien domów stojących nad rzeką, widywano bydło, jak zatrzymując się między kępami „łąki“ ryczało żałośnie, wietrząc i kopiąc ziemię racicami. O zakład leżał tam trup.

Rozpasanie jednak doszło do najwyższego stopnia. Żadne miasto w nowszych czasach nie przedstawia tylu przykładów potwornych zbrodni, zaniku wszelkich ludzkich uczuć, i rozpętania namiętności, ile przedstawiało ich wówczas Sacramento. Doszło do tego, że człowiek, który wychodził na ulicę, miał pół na pół danych, że żywy do domu nie wróci. Nocami napadano także domy, które broniły się zaciekle. Handlarzom przychodzili na pomoc spokojniejsi górnicy, górnikom handlarze. Gdy awantura przechodziła zwykłe rozmiary, posyłano z prośbą o pomoc do tartaków po drwali.

Po stronie broniących się stawali także strzelcy stepowi, którzy są wszędzie, a którzy rządzą się prawem pustyni.

Opryszków jednak była większość. Każdy dzień przynosił potworniejsze zbrodnie. Sutller rwał włosy z rozpaczy przeklinając dzień, w którym zbudował tartak i chwilę odkrycia złota.

VI.

Krwawy wujaszek.

Ale na reakcyę nie trzeba już było długo czekać. Cięciwa zbyt wyciągnięta, pęka. W chwilach gdy księżyc podnosił się z nad „łąki:“ widywano od pewnego czasu jakichś ludzi, schodzących się pod wielkim dębem nad rzeką.

Obrady ich trwały tydzień.

I nagle pewnego poranku pojawiły się pisane kartki, które w nocy porozlepiano na wszystkich domach, hotelach, parkanach.

Na kartkach tych, jako tytuł, stał tylko jeden skreślony grubszym charakterem wyraz:

„Lynch.“

A dalej można było czytać:

W dniu... miesiącu... roku... nad rzeką Sacramento, zawiązany został Komitet bezpieczeństwa publicznego, który obwieszcza mieszkańcom następujące prawo:

Wszelkie przewinienie przeciw życiu i własności: zatem, zabójstwo białego, rabunek i kradzież karane będą śmiercią przez powieszenie.

Obżałowanym dodaje się obrońców, wybranych z grona regulatorów.

Wyroki wykonają regulatorowie bezzwłocznie— na dębie stojącym obok rzeki.

Podpisów żadnych nie było.

Po rozlepieniu kartek, trzy dni panowała cisza. Nie zdarzyło się ani jedno zabójstwo, ani jedna kradzież, nikt się nie upił.

Miasto odetchnęło swobodniej. Opryszków, jak wspomniałem była większość, ale natura

ludzka ma w sobie jakiś mimowolny szacunek i strach przed prawem, choćby to prawo nie miało za sobą siły. W obec prawa jakiemkolwiek ono jest, przestępstwo nazywa się już przestępstwem, kara pociąga za sobą odpowiedzialność przed jakąś powagą sądzącą. Gdyby nie te instynkta, nie byłoby praw i społeczeństw.

Przytem w Sacramento nikt nie wiedział kto są regulatorowie, przez jakie ręce uderzy groźna tajemnica sprawiedliwości, która teraz zawisła nad zbrodnią. Tajemniczość zwiększała przestrach.

Trzy dni przeszło spokojnie. Czwartego zdarzył się pożar. Nikt nie wiedział, czy z podpalenia, czy z wypadku; nikt również nie dochodził. To ośmieliło opryszków.

Przytem porachowali się: byli liczniejsi. Czegóż mieli się obawiać. Zwolna wrócili do pijaństwa; uszło bez karnie. To dodało im jeszcze odwagi, i w tydzień po rozlepieniu kartek, znowu wystrzały rewolwerowe zagrzmiały na ulicach górników.

Ale następnego ranka, wiatr wiejący z „łąki,“ chwiał ciałami pięciu opryszków, powieszonych na dębie nad rzeką.

Dziwna rzecz. Widok ten nie przeraził już opryszków. Tajemnica sprawiedliwości straszniejszą się wydaje gdy grozi, niż gdy karze. W mieście wszczął się straszliwy rozruch. Wieczorem uzbrojone tłumy, przy okrzykach „mordują nas“ ciągnęły z wściekłością pod dąb, by go ściąć lub spalić. Partya porządku z nieznanym komitetem bezpieczeństwa na czele, chwyciła również za karabiny. Posłano natychmiast do tartaków i pobliskich lasów po drwali. „Artel“ stanął jak jeden człowiek, i w dwie godziny później, widziano posępny, milczący szereg brodatych ludzi leśnych, spuszczających się spokojnym, prawie żołnierskim krokiem z pobliskiego wzgórza do miasta. Jeszcze w godzinę później podpalono składy desek, i w nocy przy łunie pożaru, zawrzała bitwa bez pardonu i miłosierdzia, trwająca aż do rana.

Opryszkowie byli liczniejsi, ale działali bezładnie; zwycięstwo więc przechyliło się na stronę ludzi porządku.

I nazajutrz dąb pokrył się znowu straszliwemi owocami. Powieszono na nim wszystkich jeńców wziętych z bronią w ręku, przeszło czterdzieści osób.

Od owej chwili rozpoczęła się wojna w całem znaczeniu tego wyrazu, nieubłagana i nieustająca, prowadzona skrycie i otwarcie.

Liczbie opryszków, komitet przeciwstawił organizacyą. Organizacya spełnia czasem zbrodnie, ale zbrodnia ma to do siebie, że nie śmie się organizować.

Obie strony przebierały wszelką miarę okrucieństwa. Wyobraźmy sobie ową społeczność złożoną z samych mężczyzn, żyjących wśród pustyni, zdziczałych, o sercach twardych jak ów kwarc, który łupano codziennie, a zrozumiemy, że litość, miłość i przebaczenie, były tam nieznanemi słowami.

Nic nie łagodziło ich obyczajów, wszystko zaś podburzało krew. Żywili się prawie wyłącznie mięsem, a pili wódkę. Nie spotykali się nigdy z niczem słabem i bezbronnem, co samo z siebie woła o miłosierdzie, łagodność i opiekę. Nie było między niemi ani jednej kobiety.

VII.

Horyzont się rozszerza.

Nakoniec zjawiła się pierwsza. Z pewną karawaną przyjechała praczka francuzka. Była to młoda i przystojna awanturnica, umiejąca sobie dać radę w każdym wypadku życia. W mieście wyprawiono na jej cześć uroczystość. Górnicy podawali sobie z rąk do rąk jej trzewiki i sypali w nie piasek złoty. Pierwszego zaraz dnia zebrała wielkie bogactwa, następnego otrzymała około stu oświadczeń. W miesiąc później odjechała do New-Yorku na wielorybniku, który wypadkiem zawinął do San-Franciskańskiego „bay'u.“

Ale jednego dnia mieszkańcy miasta ujrzeli obraz, który na długo wyrył się w ich pamięci. Było to w jednej z takich chwil, nieumówionego zawieszenia broni między komitetem bezpieczeństwa a opryszkami; które zdarzały się czasem tak, jak wśród burzy zdarzają się chwile przesilenia i ciszy. Dąb nad rzeką był bez owoców, a ulica górników spokojna. Dżentlemanowie siedzieli pod werendami hotelów, żując tytoń i spoczywając po całodziennych trudach, z nogami pozadzieranemi na balustradę werendy. Pogoda była cudna, powietrze jasne, błękit nieba zarumieniony wieczornem światłem. Sylwetki domów, drzew, oddalonych tartaków i lasów rysowały się z tą czystą wyrazistością. właściwą chwilom wieczornym. Słońce już zaszło i tylko wzgórze położone w przeciwnym rzece końcu ulicy paliło się ogromnym, rażącym oczy blaskiem.

Nagle w tych blaskach okazała się dziwna kawalkada.

Poczynał ją olbrzymi niedźwiedź, który biegł truchtem, kiwając potwornym łbem i rzucając ukośne spojrzenia w obie strony. Widocznie był on zwierzęciem domowem, gdyż na szyi jego widniała szeroka czerwona szarfa.

Na ten widok dżentlemanowie siedzący pod werendami, zerwali się coprędzej z krzeseł; wszystko wybiegło na ulicę, handlarze stanęli w progach swych sklepów.

— Shot! Shot! (strzelaj!) rozległy się mieszane głosy.

— Shot!—ozwały się inne—jest swojski.

Tymczasem karawana zwolna weszła w ulicę.

Za niedźwiedziem jechało na rosłych i tęgich koniach dwudziestu murzynów, ubranych w białe opończe a uzbrojonych od stóp do głowy. Były to najpiękniejsze okazy negrów z pokolenia Yollof, jakie dziś można widzieć tylko w olbrzymich hotelach New-Yorku i Chicago, o twarzach matowych, czarnych jak węgiel i podobnych do twarzy sfinksów, prawdziwe „grubodzioby“ których czupryna skręca się drobno przy samej skórze, jak wełna krymskiego baranka.

Za murzynami na przepysznym mustangu jechała amazonka.

Na ten widok górnicy, drwale, strzelcy, handlarze, pootwierali szeroko usta. Takiego zjawiska nie widziano od czasu jak stanęło Sacramento. Kobieta była młoda, dystyngowana i w ruchach szlachetna. Jakiś galant krzyknął: „kapelusze precz!“ i głowy poodkrywały się natychmiast. Ktoś pijany, nie wiedzący o świecie bożym, ryknął niespodzianie: Yankee Doodlee! i natychmiast potłumiono jego głos. Zrobiła się cisza, jakby jakaś zaziemska istota przebiegała ulice miasta.

Piękna, wysmukła panna, której jasne spadające na plecy włosy poruszał łagodny wiatr wieczorny, spoglądała na wszystkie strony jasnemi błękitnemi oczyma z całą pewnością siebie, ze spokojem, a nawet pewną dumą. Na delikatnej jej twarzy nie widać było śladów najmniejszego zakłopotania; przeciwnie, na pierwszy rzut oka, z twarzy tej można było poznać istotę śmiałą, przywykłą do rozkazywania i do tego, by spełniano natychmiast wszelkie zachcianki, a choćby i kaprysy jej woli.

Za panną ciągnęły wozy kryte pitsburskiem pasiastem płótnem, zaprzężone każdy w cztery pary mułów, a powożone przez białych lub metysów. Przy pierwszym wozie jechał konno niemłody, średniego wzrostu mężczyzna, zdaje się przywódca wyprawy; co chwila zwracał się z niewypowiedzianą troskliwością ku wozowi, w którym przez odkryte płótna widać było siedzącą małą dziewczynkę o ciemnych włosach i twarzy bladej, pięknej, anielskiej prawie, ale smutnej. Otwarte szeroko jej oczy nie odbijały świata zewnętrznego, nie mrużyły się pod promieniami słońca: była niewidomą.

W innych wozach nie było nikogo. Zapewne wyładowano je narzędziami i zapasami żywności.

Pochód zamykał drugi zbrojny poczet Yoloffów.

Cała karawana postępując dość zwarto, doszła do Hotelu Dżentlemanów. Nagle amazonka skręciła w bok, i zbliżywszy się do grupy stojącej koło balustrady, spytała dźwięcznym spokojnym głosem.

— Gentlemanowie, zechcijcie mi powiedzieć, czy jenerał Sutter jest w mieście?

— Yes ma'am—odpowiedzieli grzecznie górnicy.

— A gdzie jego dom?

Kilkunastu ludzi rzuciło się prowadzić. Dom nie znajdował się na ulicy Górników, ale na południe od nich, w odległości pół mili. Krępy dowódzca dał znak i cała karawana zjechawszy z ulicy, skręciła we wskazanym kierunku.

Tłumy szły za nią.

Po kwadransie drogi dojechano do sutterowego domu, który trudno było dojrzeć wśród dębów i drzew ślazowych. Tam amazonka, krępy dowódzca i niewidoma pozsiadawszy weszli do środka.

W chwilę później na werendzie pojawił się Sutter bez kapelusza na głowie. Słyszano go jak dawał rozkazy murzynom i woźnicom, by wyprzęgli muły i rozsiodłali konie, gdyż „ladies“ zostaną na noc...

To wyrażenie: „ladies“ schwytane zostało w lot przez ciekawych. Któż więc były te panie? Zostaną li, czy odjadą? Czy może zamieszkają w Sacramento? Między mieszkańcami miasta nie było ani jednego, któryby tego jaknajgoręcej nie pragnął.

(d. c. n.)

GDZIE PRACA

DLA KOBIET NASZYCH?

IV.

Szewctwo.

W chwili gdy nastąpił w pośród kobiet zwrot do zajęć nowych, znalazła się znaczna liczba kandydatek, które uważając i słusznie, samo obszywanie obuwia za zarobek lichy, wzięły się do szewctwa.

Nie zdaje mi się, aby wybór tego rzemiosła dla kobiet należących do klasy inteligencyi niezamożnej, o którą głównie tutaj idzie, był trafnym.

Nie dlatego bynajmniej, iżbym pracę przy warsztacie szewckim miał stawiać niżej od innych zajęć godziwych, nie dlatego również aby kobieta ukształceńsza miała się do pracy mechanicznej, monotonnej, a przytem ciężkiej i niewolniczej, wcześniej lub później zniechęcić i sprzykrzyć ją sobie; nie dlatego wreszcie aby szewctwo

miało zabijać myśl, i niweczyć inteligencyę, boć jak wiadomo i Linneuszowi klepanie skóry na trzewiki nie przeszkadzało myśleć o swym układzie botanicznym; ale dlatego przedewszystkiem, że przy *naszych* stosunkach rzemieślniczych, *szewctwo nie jest w stanie zapewnić kobiecie, ani względnie dostatniego zarobku, ani niezależnego bytu, ani wreszcie pewnej samodzielności w prowadzeniu własnego warsztatu.*

Może spotkać mnie zarzut, że gdzieindziej jak np. we Francyi, Anglii i t. p. (nie mówiąc już o Ameryce), praca kobiet przy wyrobie obuwia jest nader upowszechnioną; najprzód więc wypada mi dać co do tego krótkie wyjaśnienie.

Rzeczywiście, zagranicą szewctwo daje kobiecie szerokie i dość nawet korzystne pole zarobkowania; ale i warunki prowadzenia tego fachu są tam inne niż u nas.

Najprzód są tam już w niemałem upowszechnieniu, używane do wyrobu obuwia maszyny parowe, przy których produkcya dokonywa się na ogromną skalę.

W Ameryce np. fabryki w ten sposób urządzone wyrabiają rocznie *do 4 milionów* par butów i trzewików, zatrudniając przy tem po 4—5 tysięcy robotników.

W każdej części gmachu fabrycznego wyrabiają się inne części obuwia; kobiety zaś używane są tutaj tylko przy wykończeniu obuwia damskiego. Nie jest to praca ciężka, polega ona bowiem tylko na zszywaniu wierzchów i przyszywaniu elastyki, a i to jeszcze wykonywa się częścią na maszynie, częścią w ręku.

W Paryżu używane są również maszyny do krajania obuwia; a w niektórych zakładach istnieją maszyny do przyszrubowywania podeszew. Pomiędzy też tamtejszemi pracownicami i pracownikami fachu szewckiego, są różnorodne żywioły; są np. szewcy do robót *częściowych*, szewcowe wyrabiające trzewiki przy pomocy maszyn, są wreszcie szwaczki do obszywania, garnirowania i t. p. [1]).

Przy takim systemie produkcyi, zarobek kobiet może być nie złym, i rzeczywiście są np. w Paryżu fabryki, w których kobiety zarabiają po 100 franków miesięcznie. U nas o zarobku podobnym, szewcowe jak dotąd przynajmniej, marzyć nie mogą.

Przed kilku laty liczba kobiet, które rzuciły się do szewctwa, była dosyć nawet poważną; z kandydatek tych jednak kilka zaledwie wytrwało. Dla większości, praca pokazała się zbyt ciężką i przechodzącą ich siły; a obecnie w Warszawie mamy zaledwie parę warsztatów szewckich, których właścicielki są wykwalifikowane w swym fachu.

Konsekwencya ta jest nietylko naturalną ale i pouczającą.

U nas szewctwo fabryczne nie jest rozpowszechnione, tak jak gdzieindziej a rzemieślnik szewc musi wykonywać *wszystkie części* obuwia, co znów (szczególnie przy robocie obcasów) wymaga siły fizycznej.

Owóż praktyka już dowiodła, że jakkolwiek, *kobieta silna i zdrowa* może wykończyć cały trzewik (obuwie damskie bez obcasów nie jest prawie zupełnie wyrabiane), to jednak ze względu że taż sama kobieta jest w każdym razie znacznie słabszą fizycznie od mężczyzny, potrzebuje dla wykonania roboty daleko więcej czasu aniżeli zwykły czeladnik lub majster szewcki.

Tak mianowicie, gdy mężczyzna bez nadzwyczajnego wysiłku jest w stanie zrobić 6 do 7-miu par obuwia damskiego tygodniowo, kobieta w tymże samym czasie może zrobić zaledwie 4 a najwyżej 5 par. Tym sposobem gdy mężczyzna przy średniem uzdolnieniu i wprawie, może zarobić 30 rubli miesięcznie, kobieta przy najusilniejszej pracy nie zarabia prawie nigdy 20 rubli.

Cyfry te, wzięte z praktyki mówią dosyć, lecz nie mówią jeszcze wszystkiego. Do powyższej normy zarobku miesięcznego, nawet dobrze uzdolniona szewcowa może dojść tylko przy pracy forsownej, a praca taka nader szybko, jak to również praktyka u nas stwierdziła, wyniszcza siły i rujnuje zdrowie.

Przypuśćmy jednak, że mimo to wszystko, kobieta która obrała sobie fach szewcki, pragnie bądź co bądź wytrwać, i przyjść do założenia własnego warsztatu.

I tutaj są trudności niemałe, a przed innemi nastręcza się kwestya środków materyalnych. Przy wysokiem już udoskonaleniu u nas szewctwa w ogóle, oraz (szczególniej w Warszawie) przy silnej a licznej konkurencyi firm znanych i zamożniejszych, posiadających własne sklepy i t.p., niepodobna prawie bez obawy straty, rozpoczynać prowadzenia warsztatu na własną rękę z kapitałem mniejszym nad 1500, 1800 do 2000 rubli. Wątpić trzeba aby kobieta posiadająca choćby taką sumkę gotową, chciała koniecznie imać się szewctwa; a jeśli jej nie posiada istotnie, to czyż można przypuścić, aby pracownica zarabiająca kilkanaście rubli miesięcznie, była w stanie w ciągu lat kilku, lub nawet kilkunastu zaoszczędzić tyle, iżby mogła własny warsztat założyć.

Przypuśćmy jednak i tę najszczęśliwszą niby ewentualność; przypuśćmy że młoda szewcowa może mieć swój warsztat i prowadzić go na własną rękę:

Jeszcze raz odwołać się muszę do praktyki, która i to także wykazała, że kobieta jeżeli zwłaszcza chce sama prowadzić pracownię, nie jest w stanie w żadnym razie obejść się *bez pomocy męzkiej*. Zajrzyjmy do owych paru warsztatów szewckich, któremi kierują kobiety, a przekonamy się, że prawie wyłącznie pracują tam mężczyźni. Ktokolwiek zaś ma choć przybliżone pojęcie o stopniu oświaty oraz sposobie wychowania przeważnej większości czeladników szewckich, ten przyzna zapewne, że stosunek podobny dla kobiety, choćby nawet kierowniczki warsztatu i chlebodawczyni, nie jest arcy przyjemnym, a często musi być nader przykrym i mogącym ją przyprawiać o znaczne straty.

Owa właścicielka zakładu znając się na rzemiośle, widzi że jest krzywdzoną, widzi przytem że robota idzie nie tak jak iść powinna; że wreszcie czeladź „poniedziałkuje" i t. d.: nie może ona jednak znaleźć na to rady skutecznej, bo nie jest w stanie zdobyć się na tę energią jaka specyalnie dla utrzymania w rygorze pracowników szewckich jest niezbędną.

Ostatecznie więc owa właścicielka warsztatu, nie jest ani samodzielną ani dość pewną swej egzystencyi; jest wreszcie zależną najzupełniej od sił męzkich, a to zdaje się nie jest wzgląd, któryby do liczniejszego udziału w szewctwie, szczególniej kobiety inteligentniejsze i nie posiadające dosyć siły fizycznej, mógł zachęcać.

Dla kobiet naszych, przy dzisiejszych warunkach produkcyi, pozostaje w szewctwie podług mnie jeden dział tylko.

Mianowicie, byłoby dobrem, gdyby kobiety doskonaliły się specyalnie w wyrobie *obuwia dziecinnego*, i lżejszego (jak np. pantofelki, trzewiki prunelowe i t. p.) damskiego. Praca byłaby tutaj mniej forsowną a przytem robota mogłaby być wykonywaną z większą dokładnością i sumiennością, nie mówiąc już o lepszym smaku estetycznym, jaki w ogóle kobiety posiadają w wyższym stopniu aniżeli mężczyźni.

Szczególnie co się tyczy szewctwa dziecinnego, mogłoby ono specyalnie uzdolnionym pracownicom przynieść nie złe nawet korzyści.

Obecnie, tak w warsztatach jak i sklepach większych, wyroby te albo są lekceważone i niechętnie („na obstalunek") wykonywane, albo też sprzedawane po niezwykle wysokich cenach. Gdyby więc znalazło się pewne koło pracownic, któreby przy uzdolnieniu fachowem otworzyły (np. w Warszawie) wspólny magazyn obuwia dziecinnego, to zdaje się że przedsiebierstwo tego rodzaju dobrzeby procentowało.

Obok tego kobiety uzdolnione w szewctwie dziecinnem i damskiem lżejszem, mogłyby na małą skalę zakładać warsztaty po miastach prowincyonalnych, gdzie przy braku dobrych rzemieślników w ogóle, praca ich mogłaby się stosunkowo dobrze opłacać.

W ogólności jednakże, wybór u nas szewctwa przez kobiety pragnące zdobyć sobie egzystencyą niezależną a przynajmniej pewniejszy sposób do życia, nie może być uważanym za... najszczęśliwszy.

Jan Jeleński.

[1]) „Praca kobiet" Wirginii Penny, wydanie redakcyi Przeglądu tygodniowego.

Z TYGODNIA.

— „*Panem et circenses*" wołali Rzymianie, i my też chleba, tańszego a zdrowego i dobrze wypieczonego domagamy się od pp. piekarzy.

Że chleb może być tańszy a przytem dobry okazała próba pieczywa, odbyta w obec delegacyi złożonej z p.p. Al. Makowieckiego, J. Jeleńskiego, Dzięgielewskiego i Zenowicza. Cyfry oparte na doświadczeniu, wykazały nadwyżkę grosza na funcie, jestto niewielka napozór różnica, ale ile znacząca dla robotnika obarczonego rodziną, gdzie chleb podstawę pożywienia stanowi. Otóż ta nadwyżka tysiące rubli zysków gromadzi do kieszeni pp. piekarzy, ze szkodą biednej ludności. Gdyby to panie wiejskie, mieszkające w okolicy, mającej łatwą komunikacyę z Warszawą, zechciały poświęcić trochę pracy i zajęły się wypiekiem razowca wiejskiego, tak smacznego i pożywnego, i dostarczyły go całemi partyami do Warszawy, składając na sprzedaż w sklepach gospodyń wiejskich, zrobiłyby dobrodziejstwo klasie pracującej, a sobie zapewniły dochód.

Żyto sprzedane w ziarnie z pewnością mniejszą da sumę niż w chleb zamienione. A choćby to tylko przystępnem było dla bliżej nas mieszkających dworów, jednak stanowiłoby już konkurencyę dobrze oddziaływającą na ceny i gatunek chleba, wykluczając z targów napół z otrębami mięszany razowiec przez żydów wypiekany. Lecz gospodynie wiejskie nie chcą zrozumieć korzyści jakie wypłynąć mogą z stowarzyszeń, w celu dostarczania Warszawie spożywczych artykułów. Lekceważą możność zarobkowania, gdyż to trud pewien przynosi i wolą zasklepione w dawnej rutynie narzekać na coraz gorsze czasy dla obywatelek, niepomne że od nich zależy czasy te lepszemi uczynić. Sklepy gospodyń w Warszawie upadają, bo nie mają z pierwszej ręki towaru przez niepunktualność pań naszych, właściciele zmuszeni są przezto albo tłomaczyć się chwilowym brakiem, albo unikając nieprzyjemności nabywać towar gorszy u przekupniów. Gałęź gospodarstwa kobiecego tak w zaniedbaniu u nas zostająca, mogłaby jednak kwitnąć, gdyż tradycye się znajdą a doświadczone gospodynie również pomocy nie odmówią młodszym adeptkom. Na czasie byłyby na wsiach, w gospodarstwach kobiecych wzorowo urządzonych, jak np. p. marszałkowej Kuczyńskiej i innych, szkoły gospodarskie dla dziewcząt, tak jak w mieście są szkoły rzemiosł. Młoda panna zanim za mąż wyjdzie i własne nieudolne zwykle gospodarstwo rozpocznie, ucząc się na wzorach podobnych, równąby pomoc nieść mogła rodzinie z dobrze prowadzonego gospodarstwa kobiecego, jak np., w mieście żona urzędnika zarabiając rzemiosłem, którego się wyuczyła w jednym z zakładów Nauki rzemiosł dla kobiet. Co prawda narzekają ogólnie kobiety, że w domu pracując, nie mają zbytu na towar, z którym chodzić i prosić się muszą odstępując napół darmo do większych sklepów. Aby tej niedogodności zaradzić, uczennicom w naszej *szkole rzemiosł* przyjdziemy z pomocą, urządzając przy lokalu redakcyi *zbyt* przedmiotów pracy, mając tylko na celu podanie środków pomocy tyle wyzyskiwanej pracy rąk kobiecych. Mając zdolną nauczycielkę koronek, jesteśmy w możności naukę ich rozpocząć, tudzież otworzyć oprócz kursu krawieczyzny (nauczycielka p. Grabska) i robót ręcznych (p. Elżanowska) kursa innych rzemiosł jako: rękawicznictwa, kwiaciarstwa, introligatorstwa, fryzyerstwa, buhalteryi, roboty krawatów, strojów, haftów ręcznych i maszynowych, rysunków, malarstwa, malowania na porcelanie, drzeworytnictwa, retuszeryi i heliominiatur.

Ile szkoła taka zdziałać może dobrego, uzdolniając corocznie zastęp pracowniczek, wykazuje roczne sprawozdanie zakładu p. Suchowieckiej. Sto czterdzieści siedm uczennic uczęszczało w ciągu roku na kursa, z tych dziewięć tylko nie wytrwało a 45 pracuje już na własną rękę. Pociesząjący to objaw, a usiłowanie zacnej kierowniczki ze wszech miar na uznanie zasługuje; śledząc bacznie za ruchami i odbytem pracy kobiecej, p. S. rozpoczęła naukę malowania na porcelanie,

gdyż nowo-założona fabryka tych wyrobów pod Warszawą daje robotę pracowniczkom uzdolnionym (w naszym zakładzie córka p. S. wykwalifikowana fachowo nauki tej udzielać będzie). Mówiąc o zakładach pracy kobiecej, nie możemy pominąć malarni hr. Maryi Łubieńskiej, która w skutek wzrastających ciągle zamówień, wzmogła się do rozmiarów poważnych, zakładu odtąd mającego nosić miano „Zakładu Ś-go Łukasza,“ głównie przyjmuje zlecenia w zakresie malarstwa kościelnego, jakoto: obrazów do ołtarzy, stacyi, okien kościelnych i t. p., zapewniając zarobek kobietom pracującym.

Jak żywo zajmuje się ogół kwestyą polepszenia bytu biednych pracownic, dowodzi wiadomość którą zaczerpnęliśmy z „Echa.“ Grono dam naszych krząta się około zawiązania nowego stowarzyszenia „Opieki nad sługami.“ Zupełnie swego zadania niespełniające kantory stręczeń, mają być zastąpione domem centralnym i filiami, w których chwilowo służące bez miejsca znalazłyby przyjęcie. Domy te mogłyby służyć za miejsca zabawy, nauki. Przytem projektują zaprowadzenie kas oszczędności i wzajemnego wsparcia, utworzenie szpitala. Myśl tę witamy z radością, gdyż błogie skutki wydać może w zdemoralizowanej klasie sług naszych.

— Wspominając o zasługach żyjących kobiet, z czcią zwracamy się do pięknej, szlachetnej postaci Gabryeli. Na mogile poetki, na cmentarzu Powązkowskim, stanął w tych dniach nagrobek, wykuty z ciemno-zielonego labradoru krajowego, z pracowni p. Andrzeja Pruszyńskiego. Napis na nim pełen prostoty, za serce chwytający, bo tak wiernie maluje życie i zasługi, tego niedoścignionego ideału kobiety.

Brzmi on:
Narcyzie Żmichowskiej
ur. dnia 4 marca 1819 r.
† dnia 25 grudnia 1876 r.
Rodacy.
Ludziom służyła, prawdy szukała, miłością żyła, umarła modląc się za szczęście braci.
Niech jej wspomnienie będzie przyszłości zapomogą.
Ojcze nasz, święć się Imie Twoje.
Amen.

Uroczyste poświęcenie tego nagrobka odbyło się w dniu 1 grudnia r. b. o godzinie 11-tej zrana.

— Tyle faktów należących do kroniki sprawozdawczej ciśnie się pod pióro zbyt ważnych, aby je pominąć milczeniem; musimy więc przeprosić czytelniczki za zbyt długą pogawędkę, i choć pobieżnie wyliczyć zaszłe wypadki.

Pisma inne rozpisywały się obszernie o katastrofie zaszłej na ulicy Ogrodowej, są to już rzeczy dla was znane i dość dawne; boleść tylko rodziców pozostanie zawsze świeża po stracie jedynaka, swej podpory i nadziei, a biedne rodziny dwóch ofiar z bratnią pomocą spieszących, zasypanemu ziemią Żukowskiemu, zdaniem naszem, nie dość są wspomagane: jakoś zaprędko o nich zapomniano i datki dość ograniczone, niewiele biedakom pomogły. Prawda, że jeden z nich, Maj, żyje uratowany, lecz niezdolny czasowo do pracy; gdy drugich, to jest: starozakonnego Salomona i Kalinowskiego, śmierć spotkała. Cześć ich pamięci, bo poświęcili swe życie dla uratowania bliźniego.

— O strasznej klęsce w Chorwacyi, coraz więcej zastraszające wieści nas dochodzą. Straszny kataklizm, niepamiętny w dziejach, wstrząsnął posady ziemi, sprawiając w Zagrzebiu nieobliczone spustoszenia. Gmachy, pałace, świątynie grożą ruiną, tysiące domów w gruzach, ludzie bez dachu tułają się przelęknieni, kto może z miasta ucieka: panika ogarnęła wszystkich. Roboty ustały, nikt nie myśli o powrocie do murów zagrożonych, a nędza biednych się wzmaga. Za przykładem cesarza Franciszka Józefa, który ze swej szkatuły prywatnej ofiarował zapomogę, poszła cała ludność Austro-Węgier, i we Lwowie Koło literackie krząta się około wydania Albumu lub pisma zbiorowego dla Zagrzebian.

— Czy możebnem przejście od klęsk i trumien do wesołości i zabawy, a jednak „na tym świecie wszystko się dziwnie plecie“ i my bezkarnie, myśl czytelniczek zająwszy smutnemi obrazami, podsuwamy na deser miłe i przyjemne wrażenia, jakie każdy mógł odnieść, słysząc grę młodziutkiej fortepianistki, p. Majewskiej i dzieła p. Z. Noskowskiego. Symfonja jego to poemat tchnący melodyą gór naszych, wiosek naszych; to pierwszy większy utwór muzy ojczystej, który autora stawia w parze z takiemi jak Chopin i Moniuszko mistrzami. Szczerze ucieszyła nas wiadomość, że p. Noskowski pozostanie u nas, gdyż większością głosów został wybrany na dyrektora instytutu muzycznego. W trudnych okolicznościach bierze ster chylącej do się upadku instytucyi. Że przetrwa złe chwile niewątpimy, i świetniejszemi, losy Towarzystwa uczyni.

— Otwarcie Teatru Małego, przy ulicy Daniłowiczowskiej, odbyło się 25 listopada przedstawieniem inauguracyjnem. Królikowski w towarzystwie artystów dramatu, wypowiedział prolog wierszem, pióra Asnyka, tą gorącą poetyczną wymową, jak to tylko Królikowski umie.

Potem komedyę Fredry „Odludki“ odegrano po mistrzowsku, i gdy Żółkowski w panu Benecie się ukazał, okleskom i nawoływaniom końca nie było. Łobzowianie zakończyli widowisko. Ceny przystępne umożliwiają wstęp do teatru Małego mniej zamożnym, inteligentnej rozrywki żądnym ludziom.

Występy p. Kochańskiej są ku końcowi, z wielkim żalem tych, co naszej primadonny usłyszeć nie mogli.

— O mało co nieominęliśmy ważnego, bo dotyczącego młodzieży naszej, uczącej się, faktu. W dniu 24 listopada nastąpiło otwarcie długo oczekiwanej kuchni taniej dla studentów, powstałej z daru p. Tekli Rapackiej. Zacna ofiarodawczyni znajdowała się w liczbie osób uczestniczących przy poświęceniu tego pożytecznego zakładu. Młodzież nasza ma teraz zdrowy nietrujący pokarm rozdawany na porcye, więc każdy do swej kieszeni ilość ich zastosować może; herbata o rannej i wieczornej porze bywa przyrządzaną.

Oprócz studentów, mogą tam się stołować osoby prywatne. Służba żeńska pod nadzorem gospodyni, żwawo uwijała się między gośćmi zaproszonemi; częstując obiadem nie wykwintnym ale obfitym i zdrowym.

W takich warunkach zakład powodzenie mieć musi.

— Były profesor b. Szkoły Głównej ś. p. Aleksander Tyszyński, zakończył życie d. 6 listopada, urodzony we wsi Miassocie w powiecie Wilejskim. Czas jakiś przebywając w naszem mieście, potrafił zjednać sobie szacunek dla sądu bezstronnego i podniosłego umysłu. Był głębokim myślicielem i zdolnym pisarzem.

— Niespodzianie w sile wieku zakończył życie St. Grzywiński, architekt, redaktor „Inżynieryi i Budownictwa.“ Zmarły czynne zajmował stanowisko w Towarzystwie Dobroczynności, urządzał teatr, sam w niem biorąc udział, loterye, bazary i t. p.; posiadał powszechną sympatyę i szacunek dla poczciwych swych czynów.

— We Lwowie śmierć zabrała St. Dobrzańskiego, dyrektora teatru Lwowskiego i autora dzieł dramatycznych, z których „Złoty Cielec“ doznał wielkiego powodzenia w Krakowie.

— Pozostawiając sporą jeszcze wiązankę faktów do przyszłej pogadanki, na zakończenie przytoczę piękny wiersz, znanej, sędziwej autorki „W Alpach i za Alpami“ pani Łucyi z książąt Gedroyców Rautenstrauchowej, opuszczony przez nieuwagę zecerów w Ziarnie. Wiersz ten odznaczający się również i tęsknotą, za wiecznem szczęściem po cierniach życia; wszystkie pisma za przykładem Kłosów powtórzyć powinny:

Od dawna wstęgą żałoby owita,
Brzemieniem życia ugięta ma głowa,
Czeka aż Anioł śmierci ją powita
I rzeknie nad nią swe niebiańskie słowa:
Idźmy do Boga.

Z RUCHU NAUKOWEGO.

przez

W. Niewiadomskiego.

Trucizny w kwiatach sztucznych i zabawkach dziecinnych.—Pożądane barwniki z eozyny.—Zabójcze wyziewy terpentyny.—Perfumy z owsa i drzew szyszkowych.—Nowowykryta wyspa na morzu przybiegunowem.—Miasto podziemne.—Łódź z czasów przedhistorycznych.—Olbrzymie, nieznane dotąd zwierzęta kopalne.

Przemysł produkuje dziś przepiękne barwniki: podziwiamy je w sklepach tkanin jedwabnych i wełnianych, w magazynach kwiaciarek, na targowiskach zabawek dziecinnych; zachodzi jednak pytanie, czy te prześliczne, tak ponętne dla naszego wzroku kolory, nie wywierają jakiego szkodliwego wpływu na zdrowie?

Na to pytanie postarała się odpowiedzieć hygiena, opierając się na badaniach naukowych.

Pogląd jej uwzględniły rządy: wydano surowe rozporządzenia wzbraniające dowozu towarów zabarwionych szkodliwemi zdrowiu przetworami chemicznemi.

Pomimo jednak zakazów, spekulanci którym jedynie chodzi o zyski, zapełniają targi materyami, sprowadzić mogącemi najfatalniejsze skutki.

Kwestya to ważna: bezwiednie napotykamy wszędzie na drodze życia trucizny. W pomieszkaniu naszem znachodzimy je w farbie, którą pomalowano ściany, w stroju naszych żon, siostr i córek, we własnem ubraniu, w zabawkach dziecinnych, w kuchni restauratorów, gdzie podają mięsiwa obrzydliwe, chleb niedopieczony zawierający w sobie przerozmaite elementy, a przed innemi zwłoki nawet persaków.

Niedawno czytaliśmy w pismach, że tuż pod bramami naszego miasta, tuczą wieprze padliną!

Zwracaliśmy już uwagę ogółu przed rokiem czy dwoma laty, na trucizny utrzymujące się u nas w sztuce kulinarnej [1]); obecnie ostrzegamy o niebezpieczeństwie grożącem, z użytkowania barwników zdrowiu szkodliwych.

— Jednym z najpiękniejszych wytworów smoły z węgla kamiennego, jest *erytrozyna*, przepyszny barwnik czerwony, koloru cynobrowego, powszechnie dziś poszukiwany.

Kwiaciarki mogłyby maczać kwiaty papierowe lub tekturowe w roztworze erytrozyny, a następnie utrwalać barwę za pomocą płynu białkowego; byłby to środek prosty i skuteczny: wolą jednak używać w półpłynnej masy barwnika tylko co strąconego. Przygotowanie tej masy utrzymywanem jest w tajemnicy przez fabrykanta, lecz w skutkach takiej manipulacyi, kwiaty sztuczne nie są *malowane*, lecz nakładane w ten sposób, że zapełniają powietrze chmurą pyłku czerwonego.

Jeden z klientów doktora Landur'a, właściciel zakładu wyrobu sztucznych kwiatów w Paryżu, zaobserwował, że robotnicy oddychający tym pyłkiem, uskarżali się na kolki; dał doktorowi cząstkę tej masy: Lebaigue chemik wykrył w pyłku czerwonym znaczną ilość ołowiu.

Wydzielona przez tego chemika materya barwnikowa była solą ołowianą erytrozyny.

Niebezpieczeństwo otrucia kwiatami sztucznemi, w ten sposób wyrabianemi, to jest *nakładanemi* a nie *malowanemi*, zagraża nietylko robotnikom, lecz i kobietom noszącym owe kwiaty.

— Wyroby z kauczuku wulkanizowanego, rozpowszechniają się dziś coraz więcej i między innemi widzimy na targach, fabrykowane z tego materyału zabawki dziecinne.

Zabawki te będące przeważnie produktem francuzkim, miały wielki zbyt w Niemczech. Naraz w 1877 roku, przywóz ich został do tego kraju wzbronionym, z powodu, że szkodliwie miały oddziaływać na zdrowie dzieci. Farba je powlekająca zawierała 50% tlenku cynku, według analizy profesora Ritthausena.

Gazeta narodowa Berlińska, w obszernym artykule rozbierając kwestyę szkodliwości tej farby, uznała ją stanowczo za niebezpieczną.

[1]) Artykuł ten pomieszczonym był w Gazecie Handlowej.

Paryzka Akademia Medyczna, dla sprawdzenia tej opinii, wyznaczyła z łona swego komitet do rozpatrzenia się w tej sprawie, który orzekł że oskarżenia niemców nie mają żadnej podstawy, że tlenek cynku nie jest wcale trucizną, że nie rozpuszcza się on w wodzie ani w ślinie, a stanowiąc z kauczukiem ścisły związek, nie może wywrzeć żadnego szkodliwego wpływu na zdrowie, nawet przypuszczając, że dziecko zębami oderwie jego cząstki i te połknie.

Pomimo tej oceny, przemysłowcy francuzcy zaczęli poszukiwać do cacek dziecinnych takich barwników, któreby były wolne od wszelkiego podejrzenia.

Turpin obdarzył obecnie przemysł barwnikami roślinnemi, a mianowicie lakami, których zasadą jest *eozyna*. Ciało to łącząc się z tlenkiem cynku, tworzy piękne laki czerwone, opierające się wpływowi światła i mogące najzupełniej zastąpić niebezpieczny zawsze cynober. a w związku z chromianem cynku daje piękny kolor żółty.

Laki eozyny, nawet wewnątrz przyjęte, nie wywierają żadnego złego wpływu na organizm; z tego też względu, zastąpią bezwątpienia w zabawkach dziecinnych, barwniki trujące, w których zasadami były rtęć, ołów, miedź i arszenik.

Dopóki jednak eozyna nie wyruguje z handlu barwników trujących, na wyroby temiż zabarwione, potrzeba byłoby pilną zwrócić uwagę i stanowczo wzbronić ich dowozu.

O tem nas Moynier de Villepoix ostrzega.

Przed kilku miesiącami chemik ten zakupił mnóstwo zabawek dziecinnych w Abbeville, uderzony ich barwami, które wydały się mu podejrzanemi. Farba powlekająca te zabawki, rozpuszczała się z łatwością w wodzie i w ślinie. Z wyjątkiem barwy błękitnej, wszystkie inne były trucicielskiemi.

Moynier wykrył w tych barwnikach, ołów, chrom, miedź i arszenik; papier kolorowy służący do obwijania tych zabawek był również zasobnym w miedź i arszenik.

W rezultacie fabrykanci nie potrzebują dziś barwić zabawek dziecinnych szkodliwemi zdrowiu przetworami metalicznemi, gdyż mają pod ręką, dzięki wynalazkowi Moynier'a de Villepoix, prześliczne barwniki roślinne.

— Hygiena w ostatnich czasach zwróciła uwagę na robotników manipulujących z terpentyną. Fizyolog francuzki Poinearré, badał 282 robotników wystawionych na działanie wyziewów terpentynowych i zwierzęta wśród nich pozostające.

Robotnicy doznawali bólu głowy, rozdrażnienia nerwowego, kłucia w oczach, spływania łez, osłabienia wzroku, kataru, kaszlu, owrzodzenia przełyku i krtani i zaburzeń w funkcyi trawienia.

W pierwszych godzinach pracy, nawet przy dobrze urządzonej wentylacyi, symptomaty te przejawiały się, występując tem wyraziściej, im robotnicy pracowali przez czas dłuższy i im mniejszą przestrzeń zajmowała ich pracownia.

Dla rozpoznania wpływu wyziewów terpentynowych na organizm zwierząt, Poincarré utrzymywał je w izbie często przewietrzanej, w której wyziewy terpentyny wywiązywały się w średnim stopniu; śmierć ich następowała dopiero wtedy, gdy do płuc ich dostawała się para terpentynowa w znacznej ilości, a zarazem gdy pozostawały w ciasnej izbie. Dreszcze, wycieńczenie sił, niekiedy konwulsye, skon ich poprzedzały.

Z doświadczeń tych okazuje się widocznie, że wyziewy terpentyny oddziaływają zabójczo na zdrowie; że należałoby robotników pomieszczać w izbach obszernych i zważać na to, aby powietrze nigdy nie było przepełnionem lotnemi cząstkami terpentyny.

— Nasiennik owsa (Pori carpium) zawiera zasadę bezwonną rozpuszczalną w wodzie i alkoholu, wykrytą przez Sérullas'a, który ją nazwał *aweneina*. Ciało to może być odosobnionem, odbarwionem i oczyszczonem.

Przez utlenienie aweneiny otrzymują się perfumy z charakterystycznym zapachem wanilii, zwane z tego względu *waniliną*.

Już Sonbeiran zaznaczał istnienie zasady z aromatem wanilii, w nasienniku owsa. W 1861 roku Harting wykrył w tkance twórczej (cambium) modrzewiu, materyą krystaliczną, bezwonną, z wielką łatwością rozpuszczającą się w wodzie wrzącej, nierozpuszczalną w eterze, którą nazwał *Zarycyną*. Materyę tę znaleziono później w tkance twórczej wielu drzew szyszkowych, i ztąd nadano jej nazwę *koniferyny*. Otrzymuje się ją z oskrobin powierzchni drzew szyszkowych, po obdarciu ich z kory i zebraniu tkanki twórczej, pozyskanej z wyciśnięcia masy. Białko oddziela się w czasie wrzenia i filtruje; po odparowaniu zaś i oziębieniu płynu, osadzają się kryształy koniferyny. Proces ten udoskonalili Tiemann i Haarmann, wytwarzając wanilinę sztuczną, cechującą się wonią nie różniącą się niczem od wydawanej przez wanilię naturalną.

Sok z jednego drzewa sosnowego lub jodłowego, średniej wielkości, wydaje waniliny wartości stu franków, przyczem zaznaczyć winniśmy, że drzewo w skutek wydzielenia zeń soku, nie ponosi żadnego uszkodzenia.

Wanilina sztuczna pochodząca z utlenienia aweneiny, pozyskanej z owsa, przedstawia też same prawie cechy, co otrzymywana z koniferyny.

— Kapitan Johannesen donosi z Tromsaë, że wykrył wyspę na morzach biegunowych, którą nazwał *Ensomhendem* co znaczy *Zacisze*. Wyspa ta leży pod 66 stopniem długości a 77°, 35° szerokości północnej. Długość jej wynosi 10 mil francuzkich; panuje nad nią rozległe płaskowzgórze, którego najwyniośléjszy szczyt wznosi się na 35 metrów nad poziom morza. Jakkolwiek nie ma tu śniegów, roślinność nowej wyspy jest lichą, wystarczającą przecież dla ptastwa, które w niezliczonych chmarach ją nawiedza.

Lodowiska istnieją tylko w południowej stronie wyspy, co wskazuje, że prąd ciągły tak zwany *zatokowy*, (gulfstream) płynie od strony zachodniej, ku brzegom północnym, zwracając się następnie w stronę południowo-wschodnią.

Można żeglować na około tej wyspy dość bezpiecznie, zresztą nie przedstawia ona dogodnych warunków do życia.

— W roku ubiegłym, w bliskości Mont-Gargano, w niewielkiej odległości od Sorrento, odkopano starożytny gród *Sipuntum*, o którym Tytus Liwiusz i Strabon wspominają. To miasto zapadło się w skutek trzęsienia ziemi....

Dotąd odkopano przepyszną świątynię Dyany, ozdobioną portykiem, 20 metrów szerokości mającym i rozległym nehropotem.

Przerozmaite, wielce cenne zabytki starożytności tu znalezione, zbogacają Muzeum Neapolitańskie.

— Archeolog Borel wykrył w jeziorze Newszatelskiem, pomiędzy Bazuge i Chatelard, łódź prehistoryczną, stanowiącą niezaprzeczenie najpiękniejszy okaz z dotąd znalezionych w Szwajcaryi.

Łódź ta wyrobiona z jednej sztuki dębu, ma $27\frac{2}{3}$ stóp pols. długości, 3 stóp szerokości i przeszło 2 stóp wysokości. Wyrobioną jest przedziwnie i dobrze zachowaną.

W tyle jej wznosi się ostroga, a przód ma kształt haka zakrzywionego, który prawdopodobnie służył do holowania tego statku za pomocą liny.

— Muzeum historyi naturalnej w Paryżu, otrzymało niedawno kilka pięknych, nieznanych dotąd szczątków, zwierząt zaginionych, w darze od dowódzcy okrętu *Tactique* p. Bédollére'a.

Okazy te należą do ciekawych zwierząt bezzębnych, odnalezione zaś zostały w pokładach czwartorzędowych Ameryki południowej.

Najokazalej z nich przedstawiają się kości i części tarczy olbrzymiego pancernika, zwanego *Schistopleuron typus*.

Niemniej cenne szczątki zwierzęce, wykrył w warstwach trzeciorzędnych Karoliny południowej, p. Truy, konsul francuzki w Charleston. Napotykamy wśród nich kości wielorybów i ryb kolosalnych, a między innemi potwornego rekina *Carcharodon megalodon*. Jeden ząb jego ma długości 6 i pół cali, a 5 cali szerokości, co wskazuje, że zwierzę to przedstawiało wymiary olbrzymie, zwykle bowiem zęby rekinów w porównaniu z ich wzrostem są małe. Otwór paszczy tego potworu kopalnego reprezentowałby przestrzeń 7 stóp polskich dochodzącą!

Korespondencya z Paryża.

Listopad 1880 r.

(Al. Dumas fils—Les femmes, qui tuent, et les femmes, qui votent).

Zbliżająca się zima spędza resztki maruderów do stolicy. Niebawem Paryż zawrze życiem, zbytku, orgii, sztuki; rzuci na stół najważniejsze kwestye społeczne i naukowe, i stanie się jak był zawsze stolicą świata, bez względu na wydarte miliardy.

O obrazie tym pełnym barwności, blasku, prawdziwego złota i fałszywego szychu, o tej mięszaninie głupoty i wiedzy, nikczemności i ideałów, szlachetnej krwi poświęcenia i ulicznego błota, będę wam zdawał sprawę, jeśli zechcecie, ale pozwólcie życiu rozwinąć się w pełni.

Tymczasem chcę wam opowiedzieć o jednej tylko książce, o ostatniej pracy Dumas'a syna, którego imię w chwili bieżącej jest tu na wszystkich pięknych ustach i właściwie nie wiele brakuje, żeby go wsadzono na rydwan ciągnięty przez najpiękniejsze niewiasty. Za co? zapytacie. Oto, wymowny frazeolog stanął jako najgorliwszy rzecznik sprawy kobiecej. Wiem, że kwestya emancypacyi kobiet wcale nie jest obojętną naszym czytelniczkom; właściwie nawet pod surowem niebem naszej ojczyzny, jest ona traktowana poważniej, aniżeli tutaj.

Francuzki a par excellence paryżanki chcą się przedewszystkiem bawić i o swobodę szczególniej w tym kierunku im chodzi. Dziś uzyskały one ją już, zdaje się zupełnie, może więc z kolei o poważniejszych rzeczach pomyślą.

Tu się wprawdzie zbierają meetyngi, na których wiele o swobodzie społecznej kobiety się mówi, ale w poważnych kierunkach pracy nie spotyka się ich tu wcale. Lekarzy kobiet na przykład jak u nas, nie znajdziemy tutaj, a osobistości takie, jak panna Bader lub Rose Boneur stoją bardzo na uboczu—więcej do mężczyzn są podobne. Dumas syn, o ile mi wiadomo, nie cieszy się zbytnią sympatyą Polek.

Nie nęciło ich to wcale ku niemu, że bohaterek swoich szukał zwykle w błocie, a ostatnia jego broszura *tue-la* nawet oburzenie i to dodajemy, słuszne między czytelniczkami naszemi wywołała. Dziś wszakże występuje on inaczej. Książka, o której mówić chcemy: *Les femmes, qui tuent, et les femmes qui votent* o najobszerniejsze konwencye dla kobiet się dopomina. Nie pokrywa on także milczeniem dawnego swego w tej sprawie stanowiska.

Na zarzut, że kiedyś utrzymywał, jakoby kobieta niższą była od mężczyzny, odpowiada ze skruchą: „Jeżelim coś podobnego napisał, napisałem głupstwo i dziś je odwołuję."

Dziś przychodzi on do wręcz przeciwnego twierdzenia. Wykrywa, że mózg niewieści cięższy jest od męzkiego, a na poparcie swych wywodów ma takie postacie, jak panie: Chantal, de la Fayette, de Maintenon, Dacier, Guyon, de Longueville, du Chatelet, du Deffand, Rolland, de Sevigné, de Staël, Sand, a obok nich: Annę de Beaujeu, Blankę kastylską, Elżbietę węgierską i angielską i t. p.; ma wreszcie Joannę d'Arc. Większa jest radość z jednego nawróconego, aniżeli z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, skrucha więc z jaką się odzywa, niech mu wyjedna przebaczenie. Posłuchajcie więc łaskawe czytelniczki, co mówi ten nawrócony grzesznik.

Les femmes i t. d., jak to już w samym tytule widać, dzielą się na dwie różne części. W pierwszej rozważa się co ma począć i jak postąpić, zawiedziona kobieta: czy będzie ona kochanką czy żoną. Mnóstwo prawdziwie strasznych i tragicznych wypadków, jakie w ostatnich czasach z tego powodu miały miejsce we Francyi, aż nadto usprawiedliwiają potrzebę zajęcia się tą kwestyą na seryo. Tenże sam Dumas doradzał kiedyś zabić mężowi swą żonę, jeśli ta go zdradzi; kobietom doradzać dziś tego nie trzeba, bo jakkolwiek nie powiedziano im jeszcze głośno takiej uwagi, to pokilkakroć już i kula z ich broni i nóż z białej rączki dosięgły niewiernych, a witryol, który od niedawnego czasu ważnym się tutaj zrobił, okaleczył twarze rywalek, lub pozbawił

oczu niewiernych kochanków. Zabić wszakże wiarołomnego kochanka lub męża, nie rozstrzyga kwestyi; wymierzać bowiem sprawiedliwości nikt sam nie może i satysfakcya taka jest zbrodnią. Chodzi więc o wynalezienie środków, któreby mogły zabezpieczyć kobiety przed taką ostatecznością. Autor podaje je, ale niestety! nie są one wcale skuteczne. Dla zdradzonych żon żąda rozwodu, dla zwiedzionych kochanek domaga się szczególniejszej opieki prawa, któreby je przed możliwością uwiedzenia zabezpieczyło i zarazem, gdyby fakt już był spełniony, całem brzemieniem skutków zaciążyło na mężczyźnie. Kwestyę rozwodu, jedynie może racyonalną tutaj, Dumas zbywa kilkoma słowy. Zrobimy teraz i my tak samo i sprawę tę odkładamy do niedługiego czasu.

W końcu listopada, a najpóźniej w grudniu zbiorą się w Paryżu Izby. Kwestya rozwodu, postawiona przez Maquet'a będzie jedną z najpierwszych. Jaki los ją czeka przewidzieć trudno, bo dużo już dziś głosów i za i przeciw się odzywa. Walka będzie zacięta, a o jej przebiegu i rezultacie nie omieszkamy was zawiadomić.

Złe skutki, spadające na kobiety, kiedy uwiedzione zostały, nie będąc jeszcze żonami, autor składa na niedostateczność naszego dzisiejszego prawodawstwa. Mężczyźni prawa te pisali, powiada on; nic więc dziwnego, że napisali je wyłącznie na swoją korzyść.

Wykrzyknik ten możliwy w chwili uniesienia, ale zabawny, jeśli ma służyć jako argument.

Prawo dzisiejsze a szczególniej prawo cywilne, to rezultat srogich i najważniejszych obserwacyi społecznych. Prawdy twierdzenia tego dowodzi i ten fakt, że pokilkakroć już zastanawiano się nad tym niedostatkiem, a zaradzić mu nie umiano. I Dumas także żadnej zdrowej rady nie daje. Otoczyć kobietę, powiada on, szczególniejszą czujnością i opieką i nie pozwolić, żeby mężczyzna ją uwodził. Więc pozbawić ją swobody ruchów, zamknąć w celi klasztornej, zrobić ją niewolnicą aż do chwili małżeństwa?

Czyżby kobieta, która we wszystkiem chce być równa mężczyźnie, wyrzekła się swobody, najdroższego skarbu człowieka, choćby w zamian za to miała być ustrzeżona przed wszelkiem niebezpieczeństwem?

Strzedz i pilnować należy słabych, niedołężnych, dzieci; jeśli więc kobietę także do ich rzędu zaliczym, to wtedy cały gmach jej samodzielności, jej przyszłego społecznego stanowiska runie bezwarunkowo: wtedy dyskusya skończona! Dajmy więc pokój tej części pierwszej, jako niedającej żadnych praktycznych rad i wskazującej jedynie na istnienie złego. Może przyszłość z trudności tej nas wyratuje. Toż samo, zdaje się, myśleć autor, tę pierwszą połowę swej pracy traktując bardzo pobieżnie.

W drugiej części Dumas postanawia wykazać jasno jak na dłoni, że kobietom powinno być udzielone prawo głosowania. Pomińmy tu formę, w jakiej żądanie jest postawione i dodajmy, że w tym terminie mieści się pojęcie wszystkich praw obywatelskich i że chodzi o przyznanie kobietom prawa do wszelkiego rodzaju pracy, zajęć, stanowisk i urzędów. Forma naturalnie zależna jest od kształtu rządu w danym kraju, istota jednak wszędzie ta sama.

Przedewszystkiem należy się rozpatrzyć jaki jest materyał pomiędzy temi masami, mającemi być powołanemi do nowego życia i czy idea nasza może liczyć na silne między niemi poparcie? Jakież są dziś kobiety? Posłuchajmy, niech wyliczy je autor, a wy czytelniczki osądzicie, czy nic w wyliczeniu tem nie pominięto.

„Są więc naprzód kobiety szczęśliwe, w rzeczywistem tego słowa znaczeniu. Te nietylko nie żądają żadnej reformy, ale owszem lękają się jej. Szczęście osobiste nie jest wszakże żadnym argumentem w dyskusyi ogólnej natury, jest ono tylko przywilejem i przeradza się łatwo w egoizm. Wielu mężczyzn także znalazło szczęście wśród świata, w którym żyli! nie przeszkodziło to jednak innym, którzy cierpieli, robić rewolucye. Na przychylność kobiet szczęśliwych dla naszej sprawy, nie możemy rachować. Zresztą szczęśliwe nie stanowią wcale większości."

„Są kobiety zręczne, inteligentne, jeśli chcecie, które obdarzone pewnemi przymiotami fizycznemi i moralnemi, obeszły trudności i one robiąc wszystko, co chcą w swojem kółku działania, uważają mężczyzn za istoty niższe i twierdzą, że te, które nie umieją urządzić się w ten sposób są niezręczne i głupie. Na te mniej można jeszcze rachować jak na pierwsze. Nie tylko nie będą się one nigdy skarżyć na stan rzeczy, ale owszem, znajdując go wybornym, lękać się będą jego zmiany. Jeśliby zmiana przyszła, wyciągną z niej także dla siebie część najlepszą."

„Są, a tych jest massa, kobiety ludu, kobiety naszych wiosek. Pracują one w pocie czoła od świtu do zmroku, aby zarobić na chleb powszedni. Robią to, co robiły ich matki i wydają na świat nie wiedząc po co i dlaczego, córki, które znowuż będą to robić, co one.... Z grzbietem pochylonym przez pracę codzienną, wpatrzone w ziemię, po której stąpają, zniszczone przez nędzę, podbite przez zwyczaj, oddane w usługi innym, nie przypuszczają istoty te niewieściego rodzaju, żeby warunki ich bytu mogły się zmienić kiedykolwiek. One nie mają nigdy czasu i sposobności myśleć i zastanawiać się; chwilami tylko jakieś mdłe i błędne marzenie o lepszem, prześliźnie się przez ich umysł. Kiedy ciężar jest nad ich siły, upadają; ryczą jak przeciążane zwierzęta, wylewają obfite łzy na myśl, że dzieci swe pozostawią bez środków i błogosławią śmierć dziękczynnie, bo ta jest wypoczynkiem w ich nędzy. Na poparcie tych biednych nie ma także co liczyć. Jeżeli książka ta wpadnie w ich ręce, w karty jej zawiną kawałek solonego śledzia, lub niedojedzonego sera i nie przeczytają ich wcale, dla tej prostej przyczyny, że czytać nie umieją. Jeśli przyjdzie zaburzenie, w którem z miast wielkich, niektóre z nich będą mordować, podpalać, dadzą się rozstrzelać wśród wina, nafty i krwi—oto wszystko. Nieświadomość, nędza, serwilizm, równie jak szczęście i chytrość nie przyczynia się do poparcia naszych żądań."

„Są kobiety uczciwe, niewolnice obowiązku, pobożne. Religia nauczyła ich ofiary. Nie tylko nie skarżą się one na próby, jakie na nie spadają, ale owszem wzywają ich niejako i błogosławią im, byle tylko zasłużyć przyrzeczoną w przyszłości nagrodę. Wszystko, co je spotyka pochodzi z woli Bożej i na tej dolinie płaczu, stanowiącej gościniec do lepszej przyszłości, nie może być inaczej. Te nietylko nie poparłyby żądań naszych, ale nie przyjęłyby ich nawet, gdyby im je jako spełnione ofiarowano. Zresztą one nie czytają ani dzienników, ani książek, gdzie o tem jest mowa, bo ta lektura jest im zakazana. Gdyby przypadkiem doszły do ich wiedzy podobne projekta, podszepnięte zapewne przez szatana, oneby się rumieniły, cierpiały za cały swój rodzaj i modliły się za te, które zaznaczają podobnie zgubne ideje i dają taki zły przykład. Nie można więc liczyć i na te kobiety, chociaż cierpienie ich wynika z naszego chaosu społecznego; jednak poddanie się jest ich regułą, ofiara radością, a męczeństwo nadzieją. Mniej więc niż szczęście, chytrość, słowem ubóstwo i serwilizm popycha nas ślepa wiara, ekstaza i dobrowolna nieruchomość ducha.

„Są takie, które nie są ani szczęśliwe, ani zręczne, ani osłupiałe, ani pobożne. Mają one dosyć godności, ażeby wytrwać w dobrem, dosyć rozumne, aby odpowiednio zbratać się z takim lub owakim człowiekiem; albo rozpocząć samym jakiekolwiek zajęcie, w którem potrzebna wola, cierpliwość, sumienność i uczciwość. Mają one dosyć poczucia ideału, czułości i poświęcenia, aby być małżonkami i matkami, dosyć taktu i poszanowania siebie samych, aby miały kiedykolwiek utyskiwać, że są kobietami i, że będąc mniej piękne, przedsiębiercze i bogate jak inne, zdecydowane są odmawiać sobie nie tylko radości i uczuć, ale i stanowiska i środków egzystencyi, do jakich mogłyby mieć pretensyę. Wykształcone zawiele, ażeby się poświęcić rzemiosłu; zanadto dumne, ażeby pójść w służbę; zanadto bojaźliwe, żeby podnieść chorągiew buntu; zanadto *kobiety*, żeby przyjąć śluby zakonne; pod pressyą ciągłego, wyrafinowanego i nieubłaganego egoizmu zbiorowego, widzą z dniem każdym w opuszczeniu, w bezczynności, w słabości niszczące się te boskie dary, które tylu pięknych oczów były dla nich powodem, i których wyzyskanie przyniosłoby tyle korzyści i dla nich i dla ludzi. One czują, że mogłyby dać przynajmniej tyle szczęścia, ile doznały; a umierają nie będąc ani kochankami, ani żonami, ani matkami. Niekiedy probują pojedynczo jakiegokolwiek z zajęć, gdzie opieki mężczyzny i pieniędzy im braknie, i upadają pod tem przedsięwzięciem, łącząc do smutków chwili bieżącej i przeszłej, troski na przyszłość...

„Jeżeli jest jakakolwiek grupa kobiet, któraby mogła poprzeć nasze żądania, to przedewszystkiem do tych zwrócić się powinniśmy. Mimo to jednak rachować na nie można. Ich rozum, wykształcenie, ich troski i zawody ciągle się powtarzające, wszystko to im powiada, że przydałyby się one na coś więcej, aniżeli są; ale ich skromność, przyzwyczajenie do czczych usiłowań, obawa hałasu i skandalu, pozwalają im tylko na tajemnicze i ukryte sprzyjania. One cierpią, wątpią, milczą, a doszedłszy do pewnego wieku nie spodziewają się już niczego.

„Nakoniec są kobiety inteligentne. Nie uważają się one tylko za istoty przeznaczone do uczucia, zajęcia, lub rozkoszy, ale interesują się także wielkiemi kwestyami, obchodzącemi ludzkość i społeczeństwo. One czytają, kształcą się i żyją bez pedantyzmu ośmieszonego przez Moliera, wśród duchów wyższych, przystępne są ideom postępu i cywilizacyi, nawet po za szrankami tradycyjnie uświęcanemi i nazywanemi: *„dla kobiet.*" Uważają się one za również zdatne jak i mężczyzni, rozumieć, zastanawiać się, wiedzieć i sądzić. Tego rodzaju kobiety nie wątpią, że niewiasta obdarzona sercem i rozumem, na równi z mężczyzną, musi mieć kiedyś też same prawa, tytuły i możność działania jak oni. Tylko wiedzą, że postęp tego rodzaju nie da się osiągnąć w początku inaczej, jak za pomocą mężczyzny. Pośród mężczyzn, gdzie się te kwestye traktują, one przez swoje wykształcenie, zdolności, prawość, wzniosłą mozolność, przez swe przymioty intellektualne i moralne, przez bystrość i szybkie zrozumienie rzeczy, stanowią najlepszy dowód, dają nawyborniejsze świadectwo równości społecznej i moralnej mężczyzny i kobiety. Ale kobiet takich nie masz wiele, i nadto żądania nasze nie mogą liczyć na ich publiczne poparcie. Kwestya ta dla nich wydaje się zanadto ważną, zanadto skomplikowaną, zanadto delikatną, aby być mogła traktowana publicznie. Utopistki niewątpliwie, na które głównie z początku liczyć należy, skompromitowałyby ją i spełnienie jej wstrzymały, Zkądże pochodzi ta niecierpliwość, egzageracya, ruch w tych niebezpiecznych wyznawczyniach? Z przekonań szczerych bezwątpienia, ale więcej jeszcze z cierpień, z zawodów, aniżeli z obłudnych obserwacyi..."

Takie więc mniej więcej grupy kobiet spotyka, w dzisiejszym składzie społeczeństwa nasza idea. Poparcia więc dla niej nie ma; tak się przynajmniej autorowi w jego obserwacyi wydaje. Rzut oka na te pojedyncze gruppy kobiet, dowiódł nam tego. Każdy dąży do szczęścia, a szczęście prawdziwe polega, podług autora, na uchronieniu się przed zawodami. Jak najmniej w życiu żądać i jak najmniej się spodziewać, a rozczarowania nie będą tak częste.

Nie stawiać na kartę życia, a stawki się nie przegra. Filantropia jak świat stara, i równie jak inne ustawy niepraktyczna. Dumas jednak wyprowadza ją na scenę jedynie dla tego, żeby do paradoksów swoich dalszych położyć podstawy. Kobieta, powiada on, doszedłszy do pełnoletności, używa wszystkich praw cywilizowanych, w takimże samym zakresie jak mężczyzna. Wychodząc tylko za mąż, część z nich utraca. Jeżeli więc nie chce zawieść się na mężu, jeżeli niechce doświadczyć straty swych dzieci, jeżeli ceni prawdziwie swoją swobodę, niech pozostanie panną, a część życia swojego niechaj publiczną służbą i obywatelskiemi obowiązkami wypełni. Cóż wy na to? czytelniczki moje? Czy podobne rozwiązanie kwestyi, doprowadzi rzeczywiście do szczęścia? Nam się nie zdaje. W życiu spotykamy pewien procent starych kawalerów. Ostatnie chwile ich życia, czczość samotności, nuda, nie są wcale godne zazdrości. Serce ludzkie stworzone jest do kochania. Rzadkie wypadki, żeby oderwana jakaś idea, tak je zdołała zapełnić, aby nie poczuło ono tęsknoty za

stosunkami rodzinnemi. Jeżeli zaś ta potrzeba kochania, główna podstawa rodziny, spotyka się w mężczyznie, to o ileż silniejsza ona jest w kobiecie? Pomińmy jednak tę uwagę, która nam najzupełniej słuszną się wydaje i, stosując się do rozumowania autora, przypuśćmy na chwilę, że kobieta szczęśliwa być może jedynie wtedy, kiedy swobody swej mężowi nie zaprzeda, kiedy, bojąc się przegranej. na kartę życia nic nie zaryzykuje i nie postawi i, że w zamian za rodzinę, szczęście prawdziwe, da jej miłość kraju i życie strawione na jego usługach. Jeżeli to ma być szczęściem rzeczywistem, naturalnem więc bardzo będzie, jeżeli wszystkie kobiety pójdą tą drogą, jeżeli wszystkie odmówią więzów małżeństwa. Jakiż więc wtedy rezultat? My widzimy jedynie dwa rozwiązania. Albo kobiety dumnie i hardo będą zachowywać godność swoją, i ród ludzki wymrzeć musi; albo, nie krępując się więzami małżeństwa, wybiorą wolną i swobodną miłość. Pierwsze przypuszczenie jest niemożliwem i śmiesznem; drugie prowadzi nas do najskrajniejszego socyalizmu, potępionego już dawno i przez teoryę i praktykę.

Rozumowanie Dumas'a wprawdzie, do rezultatów takich nie doprowadza, bo zatrzymuje się on w połowie drogi. Poprzestaje na wyjednaniu dla kobiety praw obywatelskich, i dozwolenia jej nie krępowania się małżeńskiemi węzłami. Nic więc nie przesadziliśmy, chyba, jeżeliśmy na podstawie tych zasad, do takich wniosków doszli. Czyż więc wyemancypowanie się zupełne kobiety jest niemożliwe? czyż wiecznie ona ma stać od mężczyzny niżej? Zawinilibyśmy ciężko i względem postępu pojęć społecznych i względem własnych naszych przekonań, gdybyśmy coś podobnego utrzymywać się ośmielili. Wierzymy, że przyjdzie czas, w którym kobiecie wszystkie drogi otwarte zostaną. Jesteśmy pewni wszakże, że i pomiędzy kobietami, niektóre tylko jednostki bądź obdarzone prawdziwemi zdolnościami, bądź umiejące dla dobra powszechnego zaofiarować indywidualne swoje potrzeby, pójdą tą drogą. Wszak i dzisiaj mamy, albo mieliśmy kobiety, które dla nauki lub sztuki, wyrzekły się uczuć rodzinnych i potrzeb sercowych. Są one między nami, szanujemy je, a mimo to, są to tylko jednostki, i massy nie idą za niemi, ale za głosem swych potrzeb. Większość gorących zwolenniczek emancypacyi, a wraz zniemi i Dumas, potępiają dzisiejszy porządek społeczny. Zapewne gorszącem jest, jeżeli społeczeństwo zamyka przed kobietami źródła wiedzy, jeżeli stawi tamy ich działalności. Wolna konkurencya powinna być jedynem hasłem czasów dzisiejszych. Mimo to jednak nie bierzmy za złe temuż społeczeństwu jeżeli pracę, zajęcie i stanowisko, woli ofiarować mężczyznie. Wynika to ztąd, że dotychczas jedyną możliwą podstawą ludzkości jest rodzina, innej kombinacyi nie wymyślono dotąd. Przypuszcza się więc, i to zdaje się słusznie, że jeśli mężczyznie ułatwi się pracę i stosunki, jeśli mu się zapewni dobrobyt, to on obok siebie sformuje rodzinę, i pracować będzie podwójnie: raz, funkcyonując w obranym zawodzie, a powtóre, przewodnicząc rodzinie. Kobieta, przyjmując od społeczeństwa stanowisko, wyrzeka się rodziny, bo inaczej obowiązki macierzyństwa stanęłyby jej na zawadzie. Czy więc można potępiać społeczeństwo, jeżeli żądającej stanowiska kobiecie odpowiada ono: poczekaj, miejsce, którego żądasz dostaniesz, jeśli podobnie zdolnych jak ty nie znajdę między mężczyznami. Odpowiedź taka nie jest broń Boże niesprawiedliwą. Jest ona czysto ekonomicznej natury. Każdy woli nająć sługę, który za toż samo wynagrodzenie załatwi podwójną robotę.

Jeszcze słówko o Dumas'ie. W książce o której mówimy, konstatuje on ten fakt, że uważano go nieraz za pisarza, który więcej szkody, aniżeli pożytku czytającym przynosi i śmieje się z tego. Nam się to nie wydaje śmiesznem, ale sprawiedliwem. Nie mówimy już o dawniejszej działalności jego, ale i w tej książce podnosi on fakt, że istnieje we Francyi pewna kasta kobiet, która do wielkiej potęgi już doszła, a którą powszechnie upadłemi kobietami nazywają. Autor widzi w tej zgniliźnie i grzybie społecznym, objaw zrewoltowania się kobiet przeciwko supremacyi mężczyzn, i jak dawniej w swych pismach, tak i teraz baczną na nie każe zwracać uwagę.

Wiem, jakie jest zapatrywanie się wykształconych naszych kobiet na tę kwestyę; wiem, że utrzymują one, i słusznie, że jeśli kobieta w społeczeństwie uzyska odpowiednie stanowisko, ten brud zniknąć musi: że upadek ten jest dowodem poniżenia kobiety, a nie, jak twierdzi Dumas, pierwszym etapem jej wyemancypowania się. Dla tego kilkoma tylko słowy dotykam sprawy, obszernie przez autora przedstawionej, i pisząc się w zupełności na tylko co powołane twierdzenie moich rodaczek, stanowczo utrzymuję, że prawdziwie szkodliwym jest pisarz, który w mistrzowskich okresach, w niezrównanym stylu, w błyszczących talentem sofizmatach, podaje prawdziwe paradoksa, w złotej czarze przyprawia trucizne.

(d. c. n.)

NAD BRZEGIEM MORZA.

NOWELLA,

przekład z niemieckiego

Stefanii B.

(Ciąg dalszy).

— Pani nie probój rozerwać mojego smutku: zostaw wszystko tak, jak jest. Możesz się nudzić, bawić, jeśli potrafisz; żądaj wszystkiego, co ci się podoba, tylko mnie zostaw pani samę jedną, tak jak gdybym była martwą. Ach, jakżebym ja chciała umrzeć, przynajmniejbym się tak nie męczyła.

Widziałam przed sobą biedne, nieszczęśliwe stworzenie, któremu jakiś fatalny los stargał życie w samym jego początku.

— Pani bardzo cierpiała?—spytałam.

— Tak—odrzekła zupełnie spokojnie.

— Więc nie chcesz pani, abym ciągle była z tobą? Możebym zdołała ciebie uspokoić choć trochę?

— Nie! – odpowiedziała.—Tego nie probuj pani. Będziemy się widywały tylko przy obiedzie: resztę dnia masz pani zupełnie swobodną.

— W takim razie muszę sobie znaleźć jakiekolwiek inne zajęcie.

— Postaraj się pani, jak umiesz, rozerwać: wszystko w domu będzie na twoje usługi.

Powiedziawszy to, znów zaczęła wpatrywać się w okno i ja poznałam, że rozmowa skończona.

— Jeśli mnie pani zapotrzebujesz—rzekłam odchodząc—racz tylko zawezwać: z ochotą usłużę pani.

Ona nawet nie odwróciła oczu od niespokojnych morskich fal, które rozlewały się z dzikim szumem tuż pod oknem jej pokoju, i ja z dziwnie ściśnionem sercem udałam się do siebie.

Jakże samotną uczułam się w tym domu bogatym we wszystko, co może życie uprzyjemnić, a który teraz wydał mi się jednym wielkim grobem.

Książki i muzyka mogą dostarczyć wiele przyjemności, lecz ludzkie serce potrzebuje czegoś więcej: życzliwego słowa, przyjaźni; zresztą towarzystwa chociaż jednej takiej istoty, z którąby można podzielić swoje nadzieje, smutki i radości. Szczęśliwąbym była, gdyby w tym domu znalazło się choć dziecię, którego szczebiotu mogłabym słuchać i maleńkie rączki popieścić w swoich dłoniach.

Z pamięci mojej nie wychodziły głęboko smutne rysy twarzy młodej dziewicy. Jakaż to smutna historya ukrywa się w jej przeszłości? Co mogło odjąć w niej ochotę do życia, nadzieję w przyszłość?

Nie prosta ciekawość mną powodowała teraz, lecz gorąca chęć ulżenia biednemu dziewczęciu, które, zdawało mi się, mogło jeszcze pokochać to życie, gdybym tylko znalazła czemkolwiek ją zająć i oderwać myśl od smutnych wspomnień.

Z mnóstwa niezamieszkałych pokojów, jeden szczególniej mi się podobał: widok z niego zdawał mi się weselszy, jakkolwiek także na morze; lecz tu ono było spokojniejsze i z okien patrząc wydawało się wielkiem, spokojnem jeziorem. Pokój ten wybrałam na swoje zwykłe posiedzenie przy robocie, a nieprzerwana cisza, doskonale usposabiała do umysłowych zajęć. Jeszcze dawniej zaczęłam się uczyć włoskiego języka, tu więc przeniosłam swoje książki i w ciszy przerywanej pluskiem fal studyowałam Danta i Torquatta. Pomimo jednak tych zajęć miłych i użytecznych, dni przechodziły nieskończenie powoli a myśli wciąż wybiegały, do tej ponurej, smutnej komnaty, gdzie młoda dzieweczka pochowała się za życia.

Kiedy poraz pierwszy, w tym pustym domu rozległy się tony fortepianu, ja prawie, że przelękłam się tych dźwięków; jednakże prędko zawładnęłam instrumentem, przechodziłam od melancholicznych walców do skocznych tonów polki; lecz ani smutne, ani wesołe nuty nie zdołały zwabić dziewczęcia do pokoju w którym grałam.

Widziałyśmy się tylko przy stole, wykwintnym jak całe otoczenie młodej pani domu; ona jedna tylko zjawiała się smutna, blada, bez uśmiechu, w jednej i tejże samej sukni, w której ją pierwszy raz widziałam, z włosami niedbale zaczesanemi. Zresztą nie wychodziła i nie wyjeżdżała nigdzie, nic nie czytała, niczem się nie zajmowała, tylko po całych dniach patrzała na dzikie, huczące morze.

Imienia jej nie słyszałam nigdy, służba inaczej nie odzywała się o niej, tylko po prostu „pani."

Z ludzi postronnych nikt nie odwiedził domu nad morzem, raz tylko przyjechał adwokat Engelman, i widziawszy się z gospodynią odjechał na tychmiast.

Spokój, świeże powietrze, ranne wstawanie, niezmiernie korzystnie wpłynęły na moje zdrowie; w myślach moich było pogodnie, na sercu lekko, i jedynem mojem pragnieniem było stać się w czemkolwiek pożyteczną biednej istocie, która w oczach moich nikła, pomimo swoje młode lata.

Razu jednego poszłam na przechadzkę nad brzeg morza, świeży wiatr orzeźwił mnie, serce wezbrało uczuciem niewytłomaczonej radości, jaką tylko może dać młodość i zdrowie: wesoła i uszczęśliwiona wracałam do domu.

— O! panno Linden—zawołała stara gospodyni, spotkawszy mnie we drzwiach—co jabym dała za to, gdybym mogła zobaczyć na twarzy naszej pani, takie świeże rumieńce i błyszczące wesołością oczy.

Głos jej zadrgał i szybko obtarła łzy, jak gdyby chciała ukryć swoje wzruszenie. Pierwszy to raz słyszałam ją mówiącą tak otwarcie i postanowiłam skorzystać z tego.

— Szczęśliwąbym była—rzekłam szczerze—jeślibym mogła podzielić się z waszą panią, mojem zdrowiem i siłą, bo rzeczywiście, życie, jakie ona prowadzi, wkrótce ją zabić może.

— Doprawdy?—zawołała biedna kobieta załamując ręce – cóż robić? Wszelkich używałam środków, żeby ją od tego oderwać, ale wszystko naprożno.

— Chciałabym, dla jej dobra, coś więcej o niej wiedzieć—rzekłam—wtedy możnaby łatwiej jej pomódz.

— Wszystko opowiedziałabym panience—rzekła staruszka uroczyście kładąc mi rękę na ramię—ale boję się. Przysięgliśmy jej, że tajemnicy nie odkryjemy nikomu, że nigdy nie nazwiemy jej imienia. Chce być umarłą dla świata. Przysięgłam na to, panienko, i przysięgi naruszyć nie mogę; ale jeżelibyś sama mogła pozyskać jej zaufanie, żeby ona zechciała odkryć ci swoją tajemnicę, lżejby jej było żyć.

— Sprobuję—rzekłam i postanowiłam zacząć od tego wieczoru.

Po obiedzie, kiedy wstała, aby jak zwykle udać się do swego pokoju, przystąpiłam do niej i rzekłam:

— Czy mogę prosić panią o jednę łaskę?

— Czego pani sobie życzy?—odrzekła mi zatrzymawszy się.

— Najpierw, niech mi pani obieca, że spełni tę prośbę.

— Dobrze, obiecuję—rzekła w roztargnieniu— o co idzie?

— Niedawno nauczyłam się śpiewać piękną pieśń, która, sądzę, że spodoba się pani. Czy zechcesz pani zejść na chwilkę do mnie i posłuchać?

Ona zawahała się: widoczne było, że szuka pozoru, żeby odmówić.

— Zrób mi pani tę łaskę—rzekłam tonem gorącej prośby—ja się tak cieszyłam....

— Jeśli koniecznie chcesz pani tego, panno Linden—rzekła chłodno—ale uprzedzam, że nic nie rozumiem w muzyce.

Uradowana jej przyzwoleniem, zaprowadziłam ją do mego pokoju. Pokój ten, od czasu jak go zamieszkałam, zupełnie zmienił powierzchowność: kwiaty w oknach i na stolikach, napełniały go słodką wonią, nuty, rysunki, książki porozrzucane naokoło, jawnie pokazywały, że jest przybytkiem ludzkiej istoty, która żyje i myśli.

(d. c. n.)

Na założenie „TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ DZIECI" złożyła:

Pani Skuratow rs. 5.

Zwracamy uwagę s anownych czytelniczek: iż pomieszczony w N-rze 33 wiersz p t. „Uczeń Chrysta wątpiący" jest pióra Bogumiła Aspisa.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Wielka tablica z modami i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 4.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Ноября 1880 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**